

Pisze się!
Agnieszka Szyk



**Kreatywne
pisanie**

część szósta

Teksty napisane przez
uczestniczkę trzeciej edycji
kursu

Odnaleźć siebie.
Kreatywne pisanie dla
kobiet w czasie zmiany

Anna Żywia Zamiechowska
Guziki nigdy nieprzyszyte

8 listopada - 31 stycznia 2024 r.

Wstęp

Teksty, które mam przyjemność umieścić w szóstej części *Antologii*, są pokłosiem spotkań z Anną Żywiją Zamiechowską w ramach kursu *Odnaleźć siebie. Kreatywne pisanie dla kobiet w czasie zmiany*. Pierwszy raz realizowałam zaplanowany cykl warsztatowy z jedną osobą, co okazało się bardzo owocną podróżą. Spotykałyśmy się z autorką raz w tygodniu, żeby pisać, ale przede wszystkim przyglądać się procesowi tworzenia – wszystkiemu, co jest wsparciem, ale też przeszkodą czy, inaczej mówiąc, lekcją do wykonania, aby móc pójść dalej.

Efekty pracy są imponujące – kilkanaście stron różnorodnych tekstów, które są zapisem chwili wykreowanej przez proponowane kursantce zadania. Twórczości Anny Żywii Zamiechowskiej przyglądam się od dłuższego czasu – po raz pierwszy spotkałyśmy się na letnich warsztatach (jej dwa krótkie teksty możecie przeczytać w trzeciej części *Antologii*), a przez trzy ostatnie miesiące intensywnie pracowałyśmy w ramach kursu. Dla mnie wszystko, co pisze autorka, jest baśniowe, wielowymiarowe. Jak na baśń przystało – pod powierzchnią niezwykłych zdarzeń kryją się głębokie sensy na temat życia, tego, co istotne, tego, co warto obejmować uwagą, żeby przyjąć siebie. Z niecierpliwością oczekuję na tomik wierszy, którego publikację przygotowuje autorka na wiosnę. To dla mnie kolejny powód, dla którego nie mogę się doczekać tej odświeżającej pory roku.

Nie od dziś wiadomo, że niektóre książki są balsam dla duszy. Dla mnie wszystko, co pisze Anna Żywia Zamiechowska, właśnie takie jest – kojące i dające nadzieję. Po przeczytaniu całego zbioru mam – żeby zacytować autorkę – „serce czyste i jasne”.

Dziękuję, Żywio!

Z pozdrowieniami – Pisz się! Agnieszka Szyk

Anna Żywia Zamiechowska

Po latach chaosu spadł śnieg i przykrył wszystko. Zostawiłam na nim swoje ślady, gdy odchodziłam stąd. Szłam tam, gdzie chciałam być. Chłód przenikał moje ciało. Ciemność panowała dookoła. Rozświetlała ją jedynie biel śniegu. Cisza.

Nikt nie powiedział mi, jak tam dojść. Nie dostałam żadnych wskazówek. Niektórzy mówili tylko, że już tam byli. Widzieli i wrócili. Teraz chodzą wkoło. A ja chciałam pójść prosto przed siebie i nie wracać. Nie miałam dokąd. Oddałam wszystko, co miałam, a resztę mi zabrano. Cisza.

Oddychałam zimnym powietrzem. Wnikało w każdą komórkę mego ciała, pobudzając je do życia. I nikogo ze mną nie było, tylko ja i śnieg. Skrzypiał delikatnie za każdym razem, gdy stawiałam na nim stopę. Nie mogłam latać. Nie dziś. Nie teraz. Dawniej przemierzałam świat, unosząc się na swoich wielkich skrzydłach. Szybowałam ponad wszystkim. Potem nastął chaos i skrzydła mi zabrano. Cisza.

Padający śnieg powiedział mi, że czas ruszać. Nie mogłam dłużej zgadzać się na to, co było. Chciałam iść, zostawić na śniegu swoje ślady. Chociaż tyle. Dotrzeć tam, gdzie ponownie założę skrzydła i wzbiję się wysoko. Chaos został w tyle. Nie oglądałam się za siebie. Nietknięta biel śniegu wskazywała drogę. Szłam tam, gdzie nikogo nigdy nie było. Cisza.

Zimno w duszy pojawia się powoli. Zwykle na początku jest jedna kropla chłodu, która sprawia, że dusza robi się lekko niebieska. Nie każdy o tym wie. Gdy dusza staje się chłodna, przychodzi dzień, kiedy przestajesz zajmować się tym, co robiłaś dotąd. Całkiem niespodziewanie wyznaczasz sobie inny kierunek działania i uczucia. Zaczynasz iść, ale nie tam, gdzie wszyscy, mniej mówisz, a więcej słuchasz.

Jej dusza stawała się chłodna powoli. Bez pośpiechu przybierała niebieskawy odcień. Nie zdawała sobie z tego sprawy, do momentu, gdy porzuciła wszystko, co do tej pory przyprawiało jej serce o mocniejsze bicie. Dlatego wyruszyła w drogę do miejsca, w którym chciała być. Teraz szła nadal przez las okryty bielą i usiłowała sobie przypomnieć ten moment, kiedy twarze innych stały się dla niej obojętne, a w ich oczach przestała szukać zrozumienia. To była pierwsza kropla chłodu, która wniknęła w jej duszę. Wtedy też pierwszy raz poczuła się lżej.

Druga kropla chłodu pojawiła się w dniu jej kolejnych urodzin. Stwierdziła wtedy, że to święto nie jest już potrzebne w jej życiu, bo w podróży do miejsca, w którym chce się być, nie ma sensu robić przystanków, aby wspominać. Druga kropla chłodu została w jej duszy na zawsze.

Trzecia kropla chłodu, ostatnia, spadła nagle i niepostrzeżenie. Tak to zapamiętała. Teraz błękitny blask duszy oświetlał jej drogę. Trzecia kropla chłodu postawiła granicę nie do

przebycia, za którą zostało wszystko to, do czego nie chciała już wracać. Ciężki bagaż został na zawsze w przechowalni.

Ośnieżona droga wciąż wiodła przez las. Wokół było cicho i spokojnie. Nie czuła niebezpieczeństwa. Uzbrojona była tylko w chłodną duszę i miecz. Potężna broń w rękach tych, które potrafią użyć takiego oręża. Opowiadano jej kiedyś legendę o kobietach, których dusze stały się chłodne, lecz nigdy nie sądziła, że podzieli ich los. Kobiety o chłodnych duszach zawsze odchodziły w jakimś momencie swego życia. Gdy w ich dusze wnikała trzecia kropla chłodu, nie było już odwrotu. I zawsze wtedy padał śnieg. Stąd wiedziała, że to jest znak, aby iść. Kobiety o chłodnych duszach zostawiały wszystko i odchodziły, zabierając jedynie miecze. Nigdy nie wracały. Ona także wiedziała, że już nie wróci.

„Pory roku nie rodzą się równe”¹. Nawet nie wiadomo, która jest pierwsza. Można uznać, że Wiosna. Zielona, budzi całą ziemię do życia. Po niej przychodzi dojrzewające lato. Jesień powoli usypia ziemię i jej mieszkańców, a zima sprawia, że śpią głęboko, chowają się w sobie, w swoich myślach, uczuciach, początkach i końcach.

Wiosna, Lato, Jesień, Zima – cztery pory roku, cztery czarodziejki Matki Natury. Nieustający cykl stałej zmiany. Nie muszą być sobie równe. Każda z nich ma zadanie do wykonania. Tak samo ważne. Gdy kończy się rok, cztery siostry Natury spotykają się w tym samym momencie. To właśnie wtedy Ziemia zatrzymuje się na ułamek sekundy, a czas tak bardzo zwalnia, że można zobaczyć myśli przepływające w powietrzu. To jedyna taka chwila, lecz prawie nikt jej nie zauważa. Zwykle zostaje zagłuszona huczną zabawą. Zupełnie odwrotnie niż powinno być. Ciche świętowanie spotkania starego roku z nowym. Czas, kiedy można chwycić w dłoń marzenia i dać im drugą szansę na spełnienie. Moment opamiętania. Zatrzymania. Ujrzenia. Moment, kiedy wszystko dzieje się jednocześnie. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość łączą się i wszystko jest. Wszyscy są. Potem Świat wraca do swego zwykłego rytmu. Dwa kroki do przodu, jeden w tył, wschody i zachody, ciepło i zimno, dzień i noc, równe bicie serc, oczy patrzące nie dalej niż zwykle. Tak jakby nic się nie wydarzyło. Nic.

Z mgłą zwykle spotykałam się na porannych spacerach, czasem towarzyszyła mi wieczorem, gdy wracałam z pracy do domu. Zawsze tak samo ulotna, a jednak obecna. Nie rozmawiałyśmy wiele. Spowijała mnie od stóp do głowy, tak jak resztę świata. Wtapiałam się w nią i czułam, że jestem wszędzie i nigdzie jednocześnie. Mgła opowiadała historie, które pozostawili w niej ludzie. Żaden z nich nie prosił o dyskrecję. Opowiadała więc o łzach, gorących prośbach, pustych spojrzeniach, wahaniach na brzegu rzeki. Za każdym razem słuchałam z zapartym tchem, a potem dokładałam swoją opowieść, którą mgła zapewne powtórzy komuś innemu. Wszyscy razem we mgle. Zawieszane życia, oddechy i serca. Kto raz spróbował bycia we mgle, już zawsze do niej wracał. Mgła otulała to, co boleło, ukrywała

¹ Kathreine May „Zimowanie” Wydawnictwo Znak, Kraków 2023, s.11

to, co wstydlive i pomagała zgubić to, co ciążyło. Z mgły każdy wychodził oczyszczony. Na jakiś czas. Bycie we mgle uzależniało. Przywracało spokój rozedrganym myślom i dłoniom. Mgliści ludzie tęsknili za czymś, czego nie potrafili określić. Każdy z nich miał sny, w których był gdzieś indziej niż był. Czuł inaczej niż czuł, a serce miał czyste i pełne czułości. Bycie we mgle sprawiało, że przez chwilę czuli się tak samo, jak w tych snach. Mgliści ludzie z pełnymi sercami.

Zgubiłam swój oddech – usłyszałam za plecami, a gdy się obróciłam, zobaczyłam dziewczynę klęczącą na trawniku i rozgarniającą rękami trawę i kwiaty. Zgubiłam oddech! – była coraz bardziej zaniepokojona – Nie mogę oddychać! Zaraz umrę! Patrzyłam na nią i myślałam, że przecież oddycha, mówi i żyje. O co więc chodzi? Kucnęłam obok niej i lekko dotknęłam jej ramienia. Uniosła raptownie głowę, chyba ją przestraszyłam. Spojrzała na mnie wzrokiem pełnym paniki. Nie wiem jednak, czy w ogóle mnie widziała. Zgubiłam swój oddech! – powiedziała mi prosto w twarz i wróciła do szukania. Położyłam dłoń na jej plecach, tym razem na dłużej. Jak masz na imię? – zapytałam. Co? – rzuciła nieuważnie. – Jak ci na imię? – powtórzyłam. Samanta – odparła nie przerywając przeczesywania trawy. Saaamaaantaaaa – wypowiedziałam jej imię. Było pełne głoski „a”. Tak lekko wypłynęło z moich ust. Usiądź obok mnie Samanto – wskazałam jej miejsce na trawniku. Usiadła. Jej klatka piersiowa unosiła się i opadała bardzo szybko. Chwytała powietrze jak ryba wyjęta z wody. Saaamaaantaaa – powtórzyłam bardziej śpiewnie. Tak, tak mam na imię – nie przestawała walczyć o oddech. Zerwałam rosnący blisko nas dmuchawiec i przysunęłam do jej ust – Zdmuchnij Samanto – poprosiłam – Wyślij te małe spadochroniki na wycieczkę. Była tak zaskoczona, że po prostu to zrobiła. Zdmuchnęła dmuchawiec resztką powietrza, jaka ocalała jej w płucach. Zerwałam następną roślinkę i poprosiłam Samantę o to samo – Zdmuchnij. Dmuchnęła, powietrza było nieco więcej, małe spadochroniki pofrunęły trochę dalej. Wiatr tylko na to czekał, porwał je natychmiast i unióś w świat. Zerwałam trzeci dmuchawiec – Samanto, proszę. Posłusznie zdmuchnęła i ten, biorąc głębszy oddech. Kolejny dmuchawiec dziewczyna zerwała już sama. Dmuchnęła lekko i dłużej. Uśmiechnęła się. Jej klatka piersiowa poruszała spokojnie i rytmicznie, oczy nabrały blasku. Wstała i spojrzała na mnie, po czym ruszyła dalej, w głąb parku. Raz po raz zrywała dmuchawce i swobodnym dmuchnięciem wysyłała nasionka w świat. Śmiała się przy tym coraz głośniejsze, układała dłoń na brzuchu, wyczuwając jego naturalny ruch. Oddychała.

Najjaśniejsza Gwiazda pojawiła się w moim prawym oku. W lewym nic szczególnego nie było. Jedynie tęczęwka koloru zielonego. Od tego momentu moje prawe oko zaczęło być widoczne z daleka. Każdy przechodzień, który mnie mijał, nie mógł oderwać wzroku od tego blasku, a Gwiazda na dobre zadomowiła się w moim oczodole. Dlaczego wybrała właśnie to miejsce? Nie wiedziałam. Nie domyślałam się nawet. Z czasem blask Najjaśniejszej Gwiazdy zaczął obejmować drugie oko, a potem inne części mojego ciała. Po miesiącu cała świeciłam jasnym, gwiazdnym światłem. I po co? – Pytałam siebie stojąc przed lustrem. – Dlaczego wybrałaś właśnie mnie? – zwróciłam się w myślach do Najjaśniejszej Gwiazdy. Poczulałam

zmęczenie długą podróżą do miejsca, którego nie ma i pomyślałam, że odpocznę chwilę w miejscu, które jest, a że stałaś mi na drodze, to wybrałam Ciebie – odpowiedziała Gwiazda. Zaraz, zaraz, leciałaś do miejsca, którego nie ma? Czyli do nikąd? – próbowałam zrozumieć to, co usłyszałam. Nie, nie do nikąd. Na świecie są miejsca, których nie ma – zaczęła wyjaśniać Gwiazda. – Nie ma ich na żadnej mapie, nie znajdziesz ich w żadnym atlasie. To są miejsca znane tylko nam, Gwiazdom. To jest was więcej? – zapytałam. Tak, Najjaśniejszych Gwiazd jest sześć i każda z nas, co roku wybiera się w podróż do jednego z miejsc, których nie ma. Od wielu, wielu lat staramy się je poznawać i odwiedzać – opowiadała. Co jest takiego niezwykłego w tych miejscach? – byłam bardzo ciekawa. – Bywacie tam tylko raz, czy wracacie do tych, które już znacie? Przychodzimy tam tylko raz – powiedziała Gwiazda – każde z tych miejsc znika, gdy tylko dotknie je nasz blask. Jak to dobrze, że ja nie zniknęłam – pomyślałam z ulgą. I nie znikniesz – Gwiazda usłyszała moją myśl – możesz być spokojna i nieść mój blask tak długo, jak będę w tobie. A potem, gdy udasz się w dalszą drogę? – chciałam wiedzieć, ile potrwa ta gwiazdna wizyta. Wtedy zostawię ci garść swego światła, starczy na bardzo, bardzo długo – usłyszałam. – Co prawda, blask delikatnie przygaśnie, ale to będzie zależało tylko od ciebie, czy rozpalisz go na nowo, jeszcze bardziej, czy pozwolisz, aby zgasł całkiem. Niezły prezent – uśmiechnęłam się pod nosem – gwiazdka z nieba. Tak – powiedziała Najjaśniejsza Gwiazda i w tym momencie bardzo mocno mną zaświeciła, tak, że dookoła nic już nie było widoczne. Pamiętaj – tak długo, jak będę w tobie.

Okruszki, które Jaś rzucał na leśną ścieżkę, aby razem z Małgosią mogli łatwiej znaleźć drogę powrotną do domu, okazały się trujące. Jaś nie miał pojęcia, że macocha włożyła im do koszyka zatruty chleb. Stał teraz i patrzył na ciała martwych ptaków, które niefortunnie zjadły okruchy. Tak bardzo chciał cofnąć czas, tak bardzo chciał, aby to, co się wydarzyło, nigdy nie miało miejsca. Chciał, aby macocha nigdy nie pojawiła się w ich życiu, aby straszna wizyta w domu Baby Jagi okazała się złym snem, aby razem z Małgosią i ojcem mieszkali razem i byli szczęśliwi. Zamiast tego stał tu, na rozwidleniu leśnych dróg, sam i patrzył na przerażający efekt czarów okrutnej macochy. Skąd mógł wiedzieć, że używała ona czarnej magii, aby pozbyć się jego i siostry i całkowicie zawładnąć życiem ich ojca. Jaś ruszył odważnym krokiem naprzód, poprzysiągł bowiem zemstę. W dłoni ścisnął nóż, który zabrał z domu Baby Jagi, jedyną broń, jaką posiadał. Wiedział, że musi wbić jego ostrze w serce macochy, a wtedy ona przemieni się w kruka i odleci za setne słońce i już nie wróci. Stamtąd się nie wraca. Powiedziała mu o tym Baba Jaga. Zrobiła się bardziej rozmowna, gdy Jaś przypalał jej pięty. Wyśpiewała wszystko, co wiedziała i teraz to on był posiadaczem wiedzy o odwracaniu magii i czarów. Nie było przy nim Małgosi. Babie Jadze udało się zamienić ją w ćmę i teraz przybierała ludzką postać na krótki czas jedynie o północy. Jaś zastanawiał się, czy ten czar także można odwrócić. Obiecał sobie i siostrze, że nad tym popracuje później, teraz miał inną, niezwykle ważną sprawę do załatwienia. Nie było mu lekko z myślą, że musi komuś przebić serce, lecz innego wyjścia nie było. Jeśli tego nie zrobi, jego rodzina nigdy się ponownie nie połączy. W pewnej chwili poczuł, że jest już blisko swego prawdziwego domu. Jego serce biło jak oszalałe, twarz pobraźla, czoło miał zroszone potem. Ścisnął nóż jeszcze mocniej i nie wahał się, ani przez chwilę.

Na kubku, który dostałam od prababci, było niewielkie zadrapanie, mała rysa, prawie niezauważalna. Lecz gdy przyjrzałam się jej z bliska, zobaczyłam, że jest wypełniona złotem. Cieniutka, nieregularna kreszczka złota. Nie było to zamierzony wzór. Kubek musiał ulec lekkiemu zniszczeniu i w ten sposób ktoś usiłował go naprawić. Trzymałam kubek w kuchennej szafce i bardzo rzadko piłam z niego jedynie wodę. Myłam go potem delikatnie i odstawiałam na miejsce. Był wyjątkową pamiątką i nie chciałam go uszkodzić. Prababcia nie opowiedziała mi jego historii, jedynie to, że w jej rodzinie przekazywano go sobie z pokolenia na pokolenie od dość dawna. Ciekawe, że zachował się w tak dobrym stanie przez tyle lat. Nie dowiedziałam się też, kiedy namalowano na nim tę złotą linię. Prababcia odeszła niedługo po tym, jak podarowała mi kubek. Czemu nie dostała go moja babcia lub mama? Czy w jakiś sposób byłam wyjątkowa, że od razu przeszedł w moje ręce? Na te pytania nie dostałam już odpowiedzi. Co więcej, miałam wrażenie, że ani babcia, ani mama nie wiedziały o istnieniu tego naczynia.

Tego dnia, gdy chciałam napić się wody z kubka prababci, wydarzyło się coś niezwykłego. Kiedy wzięłam go do ręki, zauważyłam, że złota rysa powiększyła się znacznie. Dziwne. Nawet bardzo. Postanowiłam codziennie sprawdzać wielkość szczelinki wypełnionej złotem. Po kilku dniach nie była zaskoczona tym, że złoto było coraz bardziej widoczne i wkrótce pokrywało niemal cały kubek. Złoty kubek! Skąd? Jak? Jak to w ogóle możliwe? Wydawało się, iż naczynie żyje swoim życiem. Była ciekawa, co będzie dalej.

Przez kilka tygodni kubek nie zmieniał swojego wyglądu, nadal był złoty. Przyglądałam się mu uważnie i odnosiłam wrażenie, że on także patrzy na mnie. Czyżby był żywą istotą? Hej – powiedziałam głośno i zaraz uzmysłowiłam sobie nedorzeczność tego, co zrobiłam. Hej – spróbowałam raz jeszcze – jesteś tam? Nic, cisza. Trudno, pomyślałam, muszę okiełznać po prostu swoją wyobraźnię – pomyślałam i zajęłam się czytaniem. Jestem – rozległ się po chwili głos. Aż podskoczyłam na krześle. Jestem – kubek najwyraźniej postanowił się odezwać. – Uważasz, że kubki nie mogą mówić? Bo nie mogą, ja stanowię wyjątek, gdyż nie jestem kubkiem. Chwila, chwila – podeszłam do szafki, na blacie której stał złoty kubek – Jak to nie jesteś kubkiem, skoro nim jesteś? Patrzę na ciebie i widzę kubek, jedyne co się zmieniło, to twój kolor. Ta złota rysa rozszerzyła się na całą twoją powierzchnię. Tak, tak się stało – rzekł kubek już całkiem głośno – To znaczy, że czar ustępuje. To, że jestem cały złoty i to, że mówię, oznacza, że czar, który kiedyś na mnie rzucono, przestaje działać. Wkrótce pewnie wrócę do swojej prawdziwej postaci. Byłam tak zaskoczona, że zabrakło mi słów. Czy moja prababcia o tym wiedziała, gdy dawała mi to naczynie? To kim w takim razie jesteś, jeśli nie zwykłym kubkiem? – chciałam poznać prawdę, o której moja przodkini najwyraźniej zapomniała mi powiedzieć. Wiele, wiele lat temu byłam księżciem. Mieszkałem na dworze mego ojca, który panował w królestwie Azkony. No proszę – pomyślałam – czyżby w moich żyłach płynęła błękitna krew? Kolejna rzecz, którą prababcia przeoczyła? Albo nie chciała mi o tym powiedzieć. Królestwo Azkony – ciągnął złoty kubek – było bardzo bogate. Każdy jego mieszkanięc opływał w dostatek, nikt nie narzekał na braki czy biedę. Ziemia dawała obfite plony, umowy z sąsiednimi państwami przynosiły wysokie zyski, posiadaliśmy skarbcę pełne złota. No, no – pomyślałam, ale nie przerywałam opowieści. Lecz

pewnej zimy los naszego królestwa niespodziewanie odwrócił się. Doradcy mego ojca wiedzieli, że stało się to za sprawą czaru rzuconego na Azkonę przez Czarnoksiężnika z Podziemnego Świata. Był to najgorszy wróg nie tylko naszego państwa, ale wszystkich innych, które istniały w tamtym czasie. Owej zimy Czarnoksiężnik wybrał Azkonę i rzucił na nią czar, który zatrzymał wszelkie powodzenie, szczęście i bogactwo. Ziemia stała się jałowa, mieszkańcy chorowali i umierali, ościenne państwa odwróciły się od nas, a mój ojciec, mimo wielkich wysiłków, nie umiał tego zatrzymać. Wkrótce i on odszedł, sponiewierany przez ból, smutek i chorobę. Zostałem sam i nie widziałem, co mam dalej robić. To na mnie spoczywała odpowiedzialność za królestwo i los moich poddanych. Doradcy, mimo wysiłków i wiedzy, nie znaleźli rozwiązania tej tragicznej sytuacji. Do mnie należała ochrona Azkony. To ja musiałem zmierzyć się z Czarnoksiężnikiem i zmusić go do odwrócenia magii, jaką rzucił na królestwo. Tutaj kubek przerwał swoją opowieść i zamilkł. Co było dalej? – zapytałam, gdy odzyskałam głos, który wcześniej ze zdziwienia uwiązał mi w gardle. Kubek westchnął – Nic, nie wydarzyło się nic, co mogło uratować Azkonę przed zagładą. Mimo wszelkich starań z mojej strony, Czarnoksiężnik okazał się potężniejszy niż przypuszczałem. Zawładną Azkoną pozostawiając ją w stanie niekończącej się zimy, a mnie zmienił w kubek. To było takie banalne. Z królewicza stałem się zwykłym, białym, glinianym kubkiem. A dlaczego akurat kubkiem? – Nie pasowało mi to jakoś do wielkiej magii. Czarnoksiężnik uznał, że jestem pusty, że nie dorównuję wiedzą swemu ojcu, a tym samym nie jestem godnym niego przeciwnikiem. Ze zgliszcz po spalonym zamku wyciągnęła mnie mała dziewczynka i zabrała do domu. Od setek lat stoję na półkach w domu jednej rodziny, która przekazuje mnie sobie z pokolenia na pokolenie. Uszkodzenie, które powstało w czasie pożaru, wypełniono złotem i od tego momentu traktują mnie jak skarb. Przez setki lat nic się nie zmieniło, dopiero będąc u ciebie stałem się cały złoty. Pamiętam, że Czarnoksiężnik powiedział, że mogę wrócić do swojej pierwotnej postaci, gdy znajdę sens i przekonam się, czym jest prawdziwe bogactwo. Czym ono jest? – sama zastanawiałam się nad tym wielokrotnie. Wiesz, przez ten cały, niezwykle długi czas widziałem wiele, w każdym pokoleniu tej rodziny, które mnie przejmowało, działały się różne rzeczy – te dobre i te złe. Mimo tego, rodzina trwała. Potrafili zmierzyć się ze wszystkim i wyjść z tego zwycięsko, razem. Pokolenia przekazywały sobie pewną tradycję. W każde zimowe przesilenie palili wielkie ognisko i zapraszali wszystkich krewnych, bliższych i dalszych. Jednoczyli się. Przekazywali sobie wzajemnie siłę, mądrość i miłość. To było ich bogactwo i tylko dzięki niemu ta rodzina trwa nadal. Masz szczęście, że do niej należysz. Czyli błękitnej krwi brak? – poczułam się lekko rozczarowana – Lecz nie sądziłam, że korzenie mojej rodziny sięgają setki lat w przeszłość. Kim był mała dziewczynka, która zabrała kubek do domu? Jak miała na imię? Czyja ręka pokryła „ranę” złotem? I jak wyglądały te coroczne spotkania? Nie mam już nikogo, kto może mi o tym opowiedzieć, nikogo z mojej rodziny. Nie wiem nawet, czy mama i babcia były świadome tej rodzinnej tradycji. Kiedy tak rozmyślałam, poczułam nagle, że za mną ktoś stoi. Obróciłam się i ujrzałam mężczyznę. Szybko rzuciłam wzrokiem na blat szafki – kubka tam nie było. Czy to ty? – zapytałam zdezorientowana. Tak, to ja – uśmiechnął się książę. Miał na policzku cienką bliznę, która świeciła delikatnie jak posypana złotym brokatem. Zdjęłaś ze mnie czar – powiedział – W jaki sposób, nie wiem. Najważniejsze, że wróciłem do swojej pierwotnej postaci. Dziękuję. Proszę – uśmiechnęłam się niepewnie. Nie miałam pojęcia, co teraz zrobić. Jeśli chcesz, opowiem ci historię twojej rodziny, znam każde jej pokolenie, pamiętam

wszystko. A potem ty pomożesz mi odzyskać moje królestwo, Azkonę. Jestem pewien, że nadal istnieje.

Ktoś włożył mi go w dłoń. W ułamku sekundy. Gdy potem ją otworzyłam, zobaczyłam, że trzymam kapsel. Zwykły metalowy kapsel, z trochę zdartym już kolorem. Widać, że miał kilka, może kilkanaście lat. Czyjs drobiazg? A może skarb? I to ja go dostałam. Poczułam się wyróżniona. Ukryłam kapsel w kieszeni płaszcza. Chciałam mieć go blisko. Nie wszyscy mogą nosić swoje skarby przy sobie. Mój nowy, mały skarb – pomyślałam i poklepałam się po kieszeni. Był tam i sprawiał, że czułam się wyjątkowa. Głowa sama uniosła się wyżej, krok się wydłużył, a plecy wyprostowały. Spoglądałam przed siebie, daleko i lekko, ale pewnie.

Gdy zbliżałam się do granicy miasta, poczułam, iż moja kieszeń się rozgrzewa. Z chwili na chwilę robiła się coraz cieplejsza. Wyjęłam czym prędzej kapsel. Ale to właśnie on był taki gorący, że aż sparzył mi palce. Upuściłam go na ziemię i gdy tylko dotknął ziemi, zamienił się w postać. W człowieka całego ze złota.

Oniemiałam. Jak to możliwe? Przed sekundą trzymałam w dłoni kapsel, a teraz stoi przede mną złoty człowiek. Przyjrzałam mu się uważnie. Stał nieruchomo, milczał i nawet nie wiem, czy mnie widział, bo oczy miał także złote. Włosy, twarz, ręce, stopy – wszystko mieniło się w blasku słońca. Jego złoty płaszcz zapięty był na guziki, ale jeden z nich był innego koloru. Jakby zapomniano go pomalować – zwykły, drewniany, brązowawy guzik. Sprawiał, że złoty człowiek nie wyglądał już tak wyjątkowo. Chciałam dotknąć złotego człowieka, ale nie mogłam. Moją dłoń coś blokowało, za to bez problemu dotknęłam palcami drewniany guzik. W tym momencie wszystko zawirowało i zniknęłam z miejsca, w którym się znajdowałam.

Nie wiem, jak długo to trwało. Jak długo przebywałam poza czasem i przestrzenią. W końcu poczułam coś twardego pod stopami. Stałam, próbowałam złapać równowagę i wyrównać oddech. Cieszyłam się, że wyszłam cało z tej dzikiej przejażdżki. Czy był ze mną złoty człowiek? Rozejrzałam się, lecz nigdzie go nie dostrzegłam. Byłam sama. Stałam w ogromnej, ciemnej Sali. Jedyne źródło światła biło z jednego miejsca na podłodze. Zrobiłam kilka kroków w tamtą stronę i zobaczyłam srebrny klucz. To on tak świecił. Był duży, błyszczący i chyba stary. Chciałam go podnieść, ale obawiałam się, że znów się sparzę lub przeniosę się w kolejne nieznanne mi miejsce. Klucz był jednak taki piękny, że nie mogłam się oprzeć i podniosłam go z podłogi. Był zimny. Po chwili w ścianie, której wcześniej nie widziałam, pojawiły się drzwi. Srebrne, podobnie jak klucz. Podeszłam do nich i włożyłam klucz do zamka. Pasował. Przekręciłam raz, potem drugi i drzwi się otworzyły.

Moim oczom ukazało się miejsce, które przypominało ogród. Lecz zamiast kwiatów z ziemi wyrastały różnej wielkości śrubki. O co tu chodzi? – zastanawiałam się, idąc jedną z alejek, która biegła pomiędzy klombami. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, rosły śrubki. Jedne większe, inne mniejsze, niektóre przypominały róże, jeszcze inne bratki lub tulipany. Wyglądało na to, że oprócz mnie w ogrodzie nikogo nie ma. Usiadłam na metalowej ławce. Dlaczego tutaj trafiłam? Co wydarzył się od momentu, w którym dostałam kapsel? Czy ktoś specjalnie

wybrał mnie, czy to jedynie przypadek? – myślałam patrząc na grządkę pełną metalowych nibykwiatów. Nagle za moimi plecami coś zaszurało. Odwróciłam się i zobaczyłam małego, metalowego ludka, który biegał szybko między śrubkami i podlewał je czymś, co nie wyglądało na wodę. Pobiegłam za nim, lecz tak prędko się przemieszczał, że zniknął mi z oczu. Przemierzałam ogrodowe alejki, próbując go znaleźć. Na próżno. W końcu usiadłam, zmęczona, pod metalowym drzewem i zamknęłam oczy.

Nie wiem, jak długo spałam. W pewnej chwili poczułam, że ktoś mną potrząsa. Obudź się – usłyszałam dobiegający z daleka głos. Obudź się! – głos był bliżej. No wstań wreszcie! – na to wezwanie otworzyłam oczy. W pierwszej chwili nie wiedziałam, gdzie jestem. Poczułam, że coś uwiera mnie w dłoń. Otworzyłam ją. Ach tak – pomyślałam – więc „wszystko to wydarzyło się mniej więcej naprawdę”.

Dawno temu, a może wcale nie tak dawno, żyła sobie brzydka księżniczka. Zdziwieni? Niepotrzebnie. W bajkach, tak, jak w życiu – są ładne i brzydkie księżniczki. Lisa była brzydka. Wiedziała doskonale, że nie odziedziczyła urody po matce ani po babce. Na próżno, stojąc przed lustrem, szukała na swojej twarzy choć drobnych jej oznak. Nic. Ani cera, ani usta, oczy czy nos nie były piękne. Nie były nawet przeciętne.

W dzieciństwie Lisa nie przejmowała się swoim brakiem urody, nie dostrzegała go nawet, a rodzina i przyjaciele mieli nadzieję, że z brzydkiego kaczątka wyrośnie w przyszłości piękny łabędź. Nic takiego się nie wydarzyło. Lisa dorastała i nic nie wskazywało na to, że będzie piękną kobietą. Teraz na pewno oczekujecie, że zapewnię was, że księżniczka była mądra i inteligentna. Niestety, nie, jej wiedza o świecie także należała do przeciętnych. Nie stroniła od książek, ale nie wyróżniała się za bardzo w nauce.

Lecz Lisa posiadała coś, czego mógł zazdrościć jej każdy, co sprawiało, że gromadziła wokół siebie ludzi, którzy wpatrywali się w nią, jak zaczarowani. Jak to możliwe, skoro była brzydka? Otóż Lisa miała piękny głów. Kiedy mówiła, słowa drżały wyjątkowym brzmieniem, pulsowały ciepłymi, głębokimi nutami. Uwielbiano słuchać jej głośnego czytania bądź opowiadania historii. Snucie opowieści było jej talentem, bardzo wyjątkowym. Wieczorami siadała przy kominku i opowiadała to, co ukazywało się w jej wyobraźni. Nigdy żadna z tych historii nie wydarzyła się naprawdę, pozostawały żywe jedynie w myślach i słowach Lisy. Gdy opowiadała, jej słuchacze zamykali oczy i odpływali w dalekie, nieznanne krainy, walczyli z potworami, stawali się magami, wrózkami, elfami, rozumieli mowę zwierząt i roślin, odkrywali swoje tajemne moce, siłę i męstwo. Szukali skarbów i odległych łądów, przemierzali pustynie, bezludne wyspy i oceany. Rozmawiali z syrenami, skrzatami i innymi stworzeniami. Latali do gwiazd, odwiedzali Słońce i Księżyc. Opowieści Lisy były bezcenne i nigdy żadna się nie powtórzyła. Każda przenosiła słuchaczy w inne miejsce, do innego świata, w inny czas.

Czarowny głos i niepowtarzalny talent sprawiły, że księżniczka Lisa stała się bardzo znana poza granicami swojego królestwa. Z różnych strony przybywali książęta i rycerze, by poznać ją i ofiarować swą miłość, lecz gdy tylko ją widzieli, odjeżdżali bez słowa, rozczarowani jej

brzydota, nie chcąc nawet usłyszeć jej głosu. Księżniczka, mimo tego że pragnęła kochać i być kochaną, nie traciła nadziei. Wiedziała, że los postawi jej na drodze tego, kto zobaczy w niej więcej niż tylko nieładną twarz, kto doceni jej talent i pokocha.

Lata mijały, księżniczka zajmowała się opowiadaniem historii, z czasem zaczęła je także spisywać, a wolne chwile spędzała w ogrodzie lub w pobliskim lesie. Tam, wśród natury, czuła się najlepiej. Była swobodna i wolna od oceniających spojrzeń, uśmiezków czy komentarzy. Leśni mieszkańcy towarzyszyli jej podczas przechadzek. Rozmawiali z księżniczką, a ona słuchała ich zwierzeń, dzieliła z nimi radości i smutki, pomagała, jeśli potrafiła. Pewnego popołudnia siedziała na miękkim mchu pod wielkim, starym dębem i słuchała śpiewu ptaków. Wtem dotarły do niej inne dźwięki. Ktoś chodził po lesie, w niedalekiej odległości. Słychać było trzask łamanych gałązek, szelest poszycia i głos, który mówił sam do siebie. Lisa przysłuchiwała się przez dłuższą chwilę. Chyba ktoś się zgubił – pomyślała. Wstała i ruszyła w stronę, z której dochodziły dźwięki. Wśród drzew i krzewów ujrzała mężczyznę, który chodził jak po omacku od pnia do pnia, dotykał dłońmi gałązek leszczyny, upadał na kolana i znów się podnosił, krążył i wyraźnie nie mógł znaleźć ścieżki. Lisa podeszła bliżej – Czy potrzebujesz pomocy? Mężczyzna zatrzymał się raptownie – Tak! Kim jesteś? Jakie to szczęście, że się tu znalazłaś! Mam na imię Lisa. Zgubiłeś się? Tak! Spadłem z konia, który pobiegł w las i nie wrócił na moje wołanie, a ja nie wiem, gdzie się znalazłem. Lisa podeszła jeszcze bliżej do nieznanego i zobaczyła, że jego oczy są zamglone. Nieznajomy wyczuł chyba, że księżniczka mu się przygląda – Na imię mi Gajusz. Tak, jestem niewidomy. Uśmiechnął się niepewnie. To w jaki sposób jechałeś konno? – Lisa wzięła jego dłoń i pomogła usiąść, sama zajęła miejsca obok Gajusza. Jeźdź od lat, mam wyjątkowego konia, który sam znajduje drogę, zawsze dowiezie mnie na miejsce. Ale tym razem spłoszył się czymś, zrzucił mnie i uciekł. Nigdy wcześniej to się nie zdarzyło. Nie wiem, co się stało. W tym lesie żyje wiele różnych stworzeń, niektóre są magiczne, nie wszystkie mają dobre zamiary. Może to jedno z nich wystraszyło twojego konia. – odpowiedziała Lisa. – Mam nadzieję, że wróci. A dokąd zmierzałeś? Do mojego królestwa dotarła wieść o księżniczce, która posiada wielki talent opowiadania przepięknych historii. Ach tak – szepnęła Lisa. Znasz ją może? – zapytał Gajusz. Tak, znam, nieraz słuchałam tych opowieści. Czy możesz mnie do niej zaprowadzić? Bardzo chciałbym ją poznać. Lisa spojrzała w niewidzące oczy Gajusza. – Mówią, że jest brzydka, że oprócz swego talentu i głosu, nie ma w niej nic pięknego. Przez chwilę milczeli oboje. Nagle nie było nic więcej do powiedzenia. Za to ptaki rozśpiewały się jak nigdy wcześniej.

Rozmowie Lisy i Gajusza przysłuchiwała się wróżka Osti. Siedziała na gałęzi drzewa, dość wysoko, tak, że nikt nie mógł jej zauważyć. Osti przemierzała świat w poszukiwaniu dobrych uczynków. Tych, którzy je robili i okazywali serce innym istotom, nagradzała spełnionym marzeniem. Osti była piękną, rudowłosą wróżką, nosiła zielone suknie i miała skrzydła migoczące różowym blaskiem. Patrzyła na tych dwoje, siedzących na mchu ludzi i na razie postanowiła nic nie robić, tylko sprawdzić, jak sprawy potoczą się dalej. Widziała, jak Lisa pomogła Gajuszowi wstać i trzymając go za dłoń, prowadziła leśną drogą w kierunku zamku. Osti pofrunęła za nimi. Gdy dotarli na miejsce, Lisa nie zdradzając Gajuszowi, gdzie się znajduje, ugościła go, jak mogła najlepiej. A kiedy oboje już odpoczęli po tej przygodzie,

usiedli przy kominku i księżniczka zaczęła swoim zwyczajem snuć opowieść. Gajusz otworzył usta ze zdziwienia, ale nie wyrzekł ani słowa, przysłuchiwał się historii i upajał słodkim głosem Lisy. Wróżka Osti stała na tarasie i przyglądała się wszystkiemu uważnie. W tej parze młodych było coś, co dawało nadzieję na miłość, a Osti tak dawno nie widziała jej wśród ludzi. Owszem, była świadkiem szalonych uniesień, zachwyków, chwilowych porywów zmysłów, ale prawdziwej miłości nie widziała dawno. Ci dwoje siedzący przy kominku... Żadne z nich nie mogło być obiektem zachwyku, chwilowej iluzji. Trzymali się za dłonie. Ona opowiadała, a on słuchał. Osti postanowiła, że spełni ich marzenia, te, które leżały głęboko ukryte w ich sercach.

Gdy Lisa skończyła swą historię, Gajusz otworzył oczy i ujrzał, że obok niego siedzi piękna kobieta. Oczy ma przymknięte, a w dłoni trzyma jego dłoń.

Zardzewiały mi oczy

Od łez, od łez, od łez

Usta wyblakły

I policzki też

Załamalam ręce

Z tych łez, z tych łez, z tych łez

I poszłam sobie daleko

Za rzeki, za góry, hen

Zebrałam dzbanek cały

Mych łez, mych łez, mych łez

Został tam smutek, lęk

Nadzieja i radość też

Korale jutro zrobię

Ze szklanych łez, szklanych łez

I strojną będę księżniczką

Lecz nigdy nie ujrzysz mnie

Jestem taka bezbarwna – patrzyłam na swoje odbicie w lustrze i nie czułam się dobrze. Oczy zielono-wyblakłe, usta prawie nie różowe, skóra daleka od blasku, a włosy...lepiej ich nie

widzieć. Bezbarwna byłam od urodzenia. Pamiętam, jak rodzina pochylała się nade mną leżącą w łóżeczku i ubolewała, że nie mam kolorów. Moja mama wieczorami szeptała, abym się w końcu zaróżowiła, zabarwiła choć troszkę. Rosłam taka bezbarwna. Pośród kolorowych nastolatek widziana byłam od razu – poruszająca się plama nijakości. A z plamami nikt nie lubi się przyjaźnić, wiadomo. W tej bezbarwności spotkałam swoją dorosłość. Zapytałam ją – Jak mam żyć? Tak bezbarwnie? Może jest jakiś sposób, by nabrać rumieńców i życiu trochę ich dodać? Dorosłość uśmiechnęła się i odeszła, nie dając mi żadnej wskazówki. Cóż, nie pozostało mi nic innego, jak poradzić sobie samej.

Wymyśliłam, że codziennie będę chodzić na spacer, każdego dnia w innym kierunku i wezmę trochę kolorów od Matki Natury. Miałam nadzieję, że się ze mną nimi podzieli. Nie omyliłam się. Na pierwszym spacerze zaczerpnęłam błękit z nieba i mlecznobiałą barwę chmur. Następnego dnia pobrudziłam sobie palce zielenią traw i żółcią kwiatów łąkowych. I tak, każdego dnia przynosiłam do domu jakieś kolory, których Natura miała tak wiele, a ja wcale.

Po miesiącu tych kolorowych wycieczek, mój dom stał się przekolorowym dziełem sztuki. Moje sukienki mieniły się odcieniami błękitu i zieleni, a włosy upiększyłam rudością, brązem i czerwienią. Kiedy szłam ulicą, byłam widoczna z daleka, kolorowa jak palma wielkanocna. Nabrałam barw! – myślałam do siebie i cieszyłam się niezmiernie – O tak! W końcu!

A potem lato się skończyło i przyszła jesień, a z nią deszcze. I stało się coś, czego nie przewidziałam. Nie mogłam w to uwierzyć, ale Natura zabrała mi wszystkie kolory, splukując je kroplami deszczu. Siąpiło, mżyło, lało, a ja traciłam barwy, mój dom także. Smutek zagościł w moim sercu i wstyd, że znów będę plamą nijakości, tylko pośród dorosłych. Może łatwiej będzie się ukryć? Dorośli nie wierzą w kolorowe, rajske ptaki, nie dostrzegają motyli ani tęczowych jednorożców. Chociaż różnią się kolorem włosów czy skóry, ich dusze utraciły swe kolory, jak tylko przestąpili magiczny próg dojrzałości.

Z moich barw zostało mi jedynie czerwone pasemko we włosach. Bardzo się cieszyłam, że mam chociaż to. Pewnego dnia, przechodząc ulicą, zauważyłam małą kawiarnię, której drzwi wejściowe były czerwone. Zajrzałam ciekawie przez okno do środka i zobaczyłam, że siedzi tam kilkanaście osób. Postanowiłam wejść i napić się herbaty. Usiadłam przy stoliku pod ścianą i rozejrzałam się. Jakież było moje zdziwienie, gdy zobaczyłam, że każda ze znajdujących się tam osób miała czerwone pasemko we włosach... Klienci kawiarni śmiali się, rozmawiali, przechadzali między stolikami, niektórzy kołysali się w rytmie płynącej z małych głośników muzyki. Jeszcze inni czytali zagłębieni w swoje fotele. Co to za dziwne miejsce? To na pewno nie jest zwykła kawiarnia. Nie jest – kelnerka pojawiła się nagle przy moim stoliku – To wyjątkowe miejsce – uśmiechnęła się. We włosach także miała czerwone pasemko. Napijesz się czegoś? Tak, poproszę herbatę, taką mocną. – mój wzrok nadal błądził po sali. Gdy kelnerka wróciła z moim zamówieniem, zapytałam – Dlaczego wszyscy tutaj mają czerwone pasemka? A dlaczego Ty je masz? – usłyszałam pytanie. Tyle zostało z mojego kolorowego życia – westchnęłam. Im zapewne też – kelnerka odwróciła się w stronę ludzi na Sali. – Mnie, jak widzisz, również. Ta kawiarnia to miejsce dla ludzi z historią, barwną bardziej lub mniej, w kolorach ciemnych bądź jasnych. Jest nas niewiele, ale ciągle

dochodzą nowe osoby i każda ma czerwone pasemko we włosach – znak, że doświadczyli czegoś, co ich zaskoczyło, zmieniło, sprawiło, że żyli bardziej, widzieli więcej, czuli mocniej... A potem, nagle, to się skończyło. Czerwone pasemko nie daje tak do końca zapomnieć, wyróżnia ich z tłumu, w pewien sposób naznacza – przysiadła się do mojego stolika. Lubię pamiętać o swoim kolorowym życiu – powiedziałam, podnosząc filiżankę do ust – Pyszna! Często przypominam sobie chwile, gdy malowałam wszystko dookoła różnymi barwami, gdy czułam radość, przestrzeń wokół mnie stawała się większa i większa, czas zwalniał i zdawałam sobie sprawę, że mogę naprawdę wszystko. I nie były to jakieś utopijne marzenia, mrzonki czy kosmiczne zachcianki. To byłam ja – wielobarwna cała, chwytająca życie garściami. Tak – kiwnęła głową kelnerka – a to pasemko przypomina Ci, że zawsze możesz zacząć jeszcze raz..

Zanurzyć się wcale nie jest łatwo

W rozmowie, w marzeniach, czy snach

W zanurzeniu zanadto

Brakuje mi tchu

I miejsca brak, gdy się zanurzam

Tam tęczy nie ma, nawet po burzy

I w dół coś wciąż mnie pcha

Zanurzać się nie lubię

Nawet po kostki, nie

Zanurzenie odbiera mi siebie

Poranek chciał być kimś innym. Miał dość wczesnego wstawania, słuchania ptasich śpiewów, rażących w oczy promieni słońca. Chciał być wieczorem, spokojnym końcem dnia, gdy nic się już nie musi, gdy nie trzeba budzić wszystkich, całego świata, nie trzeba znosić dąsów, jeśli ktoś nie chciał wstawać, nie trzeba słuchać głośnego ziewania i narzekania, jeśli poranek wypadał w poniedziałek.

Poranek pragnął być wolny. Wybrał się pewnego dnia do wieczora, aby zaproponować mu zamianę miejsc i obowiązków. Na krótko, na tydzień chociaż. Nie był pewny, czy wieczór się zgodzi wziąć na siebie nowe, nieznane zadania, ale trudno, zapytać nie zaszkodzi. Dochodziła godzina dwunasta, samo południe, więc wieczór na pewno nie był zajęty. Poranek zapukał do drzwi domu, w którym mieszkał wieczór i wszedł do środka. Ujrzał go siedzącego przy stole, z kubkiem w dłoni i nosem w książce. Temu to dobrze. Nie musi wcześniej wstawać i ma tyle czasu dla siebie – zazdrościł poranek. Wieczór zdziwił się odwiedzinami poranka. Rzadko się

widywali i nie bardzo mieli o czym ze sobą rozmawiać. Co cię sprowadza? – zapytał, zamykając książkę. – Napijesz się naparu z malin? Chciałem Ci coś zaproponować – odpowiedział poranek, dziękując za napój skinieniem głowy. – Jestem zmęczony swoją codzienną rutyną, wczesnym wstawaniem i budzeniem wszystkich dookoła. Chciałbym się chociaż raz porządnie wyspać i nie słuchać piania kogutów i drażniącego dzwonienia budzików. Pomyślałem, że może chciałbyś się ze mną zamienić na miejsca? Ja przejąłbym twoje zadania, a ty moje. Na krótki czas chociaż – poprosił. Wieczór słuchał go uważnie i dziwił coraz bardziej. – Miałbym spełniać twoją rolę? Poranek przytaknął. Miałbym porzucić wszystko to, co robię, bo ty chciałbyś się wyspać? Tak, nie na długo oczywiście – poranek wyczuł sceptyczne nastawienie wieczora. – I nie porzucić, tylko przekazać w moje ręce – dokończył z nadzieją, że to informacja coś pomoże. Nie – odpowiedział wieczór zdecydowanie – Nie, nie zamienię się z tobą. Porankowi zrzęda mina. – Dlaczego? Mógłbyś zobaczyć całkiem inny świat. To nie jest takie proste – wieczór nie miał zamiaru zmienić zdania. – Ja nie potrafię być tobą, porankiem. Przeznaczono mnie do robienia zupełnie innych rzeczy. Ja usypiam, uspokajam, zasnuwam delikatnym mrokiem cały świat, dbam o zachód Słońca, staram się, aby nic mu w tym nie przeszkodziło, kieruję wszystkich na ścieżkę odpoczynku, głębszego oddechu i czasu dla siebie. Ty dodajesz światu energii, budzisz ze snu, mobilizujesz do działania, napędzasz na resztę dnia. Zdarzają się trudne poranki, inne są lekkie, a wieczór zawsze jest taki sam – koi po całym dniu, pomaga poukładać myśli i emocje – te dobre, radosne lub mniej. Tego jestem nauczony, do tego przeznaczony i nie chciałbym tego porzucić, nawet na chwilę. Skąd wiesz, że dobrze wypełnię twoje obowiązki, że niczego nie pomieszam, nie zepsuję? – spojrzał porankowi w oczy. Tej pewności nie mam, ale można dać sobie szansę – poranek jeszcze próbował. Po co zaburzać naturalną równowagę? – wieczór nie dawał się namówić. – Coś, do czego zostaliśmy stworzeni i za co jesteśmy odpowiedzialni? Nie pomyślałeś o tym? Nie – zamyślił się poranek. Faktycznie o tym nie pomyślał. Z jakiegoś powodu to on jest porankiem i to on budzi co dzień cały świat, nadaje sens każdemu dniu. Czy wieczór by to potrafił? A czy on umiałby układać Ziemię do snu? Do tego potrzeba o wiele więcej delikatności. Wyglądało na to, że nie miał jej sobie aż tyle. Wstał, podszedł do okna. – Chyba masz rację – zapatrzył się w dal. – Każdy powinien zajmować się tym, do czego go powołano i co potrafi robić najlepiej. Tak – wieczór odetchnął z ulgą. – Tak i robić to najlepiej, jak potrafi. Bądź zdrow poranku. Teraz, w ciągu dnia i w nocy możesz się wyspać, by o wschodzie Słońca dać mieszkańcom Ziemi wszystko, czego potrzebują, aby z radością weszli w nowy dzień. Poranek pokiwał głową. Musiał to sobie jeszcze wszystko przemyśleć, ale może faktycznie nie ma sensu robić zamieszania. Pożegnał się z wieczorem i poszedł na spacer. Długi, przez las i łąki, aby zobaczyć wszystko i wszystkich, których obudził kilka godzin temu. Chciał się przekonać, że jego praca ma sens i nabrać pewności, że jest w dobrym miejscu. Najlepszym.

Bogini Ognia, Azani, stała na szczycie Wszechgóry i patrzyła na świat, który tonął w płomieniach. Jesteś zadowolona? – zapytał stojący obok niej Khor. Tak, jestem – odpowiedziała z satysfakcją. – Teraz nie będzie już nic, co mogłoby mi przeszkodzić w zdobyciu panowania nad piątym żywiołem. Doskonale wiesz – rzekł Khor – że nad nim nie

da się zapanować. Jest wszystkim i niczym jednocześnie, więc jak chcesz przejąć nad nim władzę? Azani milczała. Patrzyła na pożogę i zastanawiała się, co dalej. Musi znaleźć sposób, aby zapanować nad piątym, nieuchwytnym żywiołem. Od lat toczyła o to spór z Boginiami Wody, Powietrza i Ziemi. Tamte broniły do niego dostępu. Uważały, że jeśli Azani przejmie nad nim władzę, źle się to skończy dla wszystkich.

Nad piątym żywiołem dotąd nie panował nikt. Sam był dla siebie władcą i poddanym. Sam o sobie decydował, wszechobecny i wszechprzenikający. Dzięki temu świat pozostawał w równowadze. Teraz Azani chciała to naruszyć. Nie podobało się to pozostałym Boginiom. Do tej pory Azani była im w miarę posłuszna, lecz teraz miała dość. Wzniciła pożar tak ogromny, że Boginie Wody, Ognia, Powietrza i Ziemi miały mnóstwo pracy, aby go ugasić, a potem przywrócić wszystko do poprzedniego stanu, podnieść ziemię z martwych. W tym czasie Azani mogła bez przeszkód zająć się eterem i schwycić go w swoje ręce.

Nie przewidziała tylko jednego – że eter nie będzie chciał być jej posłuszny. Khor, bliski jej sercu czarownik, mówił o tym wiele razy, lecz Azani była głucha na jego argumenty. Przeczytała wszystkie księgi, jakie kiedykolwiek napisano o piątym żywiole i uważała, że wie już dostatecznie dużo i jest gotowa, aby przejąć nad nim panowanie. Jeśli to zrobi, zdobędzie najpotężniejszą władzę na świecie. Nie mogła pozwolić, aby ktokolwiek jej w tym przeszkodził. Teraz, gdy myślała o tym, patrząc na skutki swojego działania, dotarło do niej, że nie wiedziała jednego – gdzie tak naprawdę znajduje się eter? W żadnej książce o tym nie napisano. Jedyne o tym, że istnieje, ale gdzie go szukać? Podobno był wszędzie i nigdzie. Był pełnią i pustką jednocześnie. Jak to możliwe? – zastanawiała się Azani. – Jak go rozpoznać? Wszak nie miał żadnej formy, mógł być wszystkim.

Azani skierowała się w stronę swojego domu. Mieszkała w głębi jaskini, u podnóża Wszechgóry. Było to miejsce mroczne, rozświetlone jedynie płomieniami pochodni, które były przytwierdzone do skalnych ścian. Nikt oprócz Khora tam nie bywał. Boginie Wody, Ziemi i Powietrza nie odwiedzały Azani wcale. Wiedziały, że jest niebezpieczna, a rozmowy z nią nie należały do przyjemnych, więc wołały trzymać się z daleka. Bogini Ognia nie czuła się jednak samotna. Lubiła swoją jaskinię, mrok, który w niej panował. Urządzała sobie też dalekie wyprawy, w czasie których poznawała świat. Przyglądała się ludziom i ich problemom, radościom i krzywdom, które potrafili sobie wzajemnie wyrządzić. Z lubością karała tych złych, wypalając im oczy bądź pozbawiając ich za pomocą ognia dłoni lub palców. Postępowanie Azani sprawiło, że ludzie się jej bali i gdy tylko pojawiała się w jakimś miejscu, natychmiast ogłaszano alarm, nie wychodzono z domu bez potrzeby, czekano w ciszy, aż Bogini pójdzie dalej. Ci, którzy stracili za karę jakąś część ciała, do końca życia pamiętali straszny wyraz twarzy Azani, gdy dowiadywała się o ich przewinieniach i rzucała ogniste kule w ich ciała.

Bogini nie miała litości. Była bezwzględna. Wiedziała w głębi siebie, że nie powinna wykorzystywać ognia jedynie do niszczenia, ale tłumaczyła się tym, że robi to w dobrej wierze, że wymierza sprawiedliwość. Lubiła poczucie władzy, które dawało jej takie działanie. Lubiła wzbudzać strach i respekt. Nie chciała mieć nikogo blisko siebie. Oprócz Khora, któremu zaufała i który był tak samo potężny, jak ona. Nikt więcej nie był Azani

potrzebny. Od wielu lat pragnęła jedynie zdobyć panowanie nad piątym żywiołem, wiedziała bowiem, że posiadzie wtedy źródło wszystkiego, co jest. Początek i koniec. Miłość i lęk, i będzie mogła dowolnie je wykorzystać. Nic jej wtedy nie zatrzyma. Zapanuje nad całym światem, także nad pozostałymi Boginiami, które będą musiały stać się jej posłuszne. Marzyła o tym, by być jedyna i niepowstrzymana. Spali wszystko, jeśli będzie musiała, a potem, co trzeba, zbuduje od nowa. Na nowych, swoich własnych zasadach. To był życiowy cel Azani. Niezwykle mocne pragnienie bycia jedyną i najważniejszą. Pragnęła władać mocą, której nikt wcześniej nie był w stanie osiągnąć. Tę moc miał dać jej właśnie piąty żywioł.

Siedząc w swojej jaskini, Bogini Ognia ponownie wertowała strony wszystkich ksiąg mówiących o eterze. Chciała znaleźć informację o tym, gdzie go szukać. Był wszechobecny, ale jak go rozpoznać? Nie miał koloru ani zapachu. Po wielu godzinach wczytywania się w te informacje, przypomniała sobie nagle o jeszcze jednej, małej i liczącej zaledwie kilkanaście stron książce. Znalazła ją na regale, wcisniętą między inne książki. Okładka w niczym nie przypominała okładki starożytnej księgi, mimo tego, zawarta w niej wiedza miała nieskończoną liczbę lat. Nie wiadomo, z jakiego okresu pochodziła. Była stara, to pewne. Azani zaczęła ją przeglądać, a potem czytać. Treścią nie różniła się zbyt od ksiąg, które Azani przeczytała wcześniej, jednak na końcu zamieszczono zdanie, które mówiło, iż piąty żywioł to dźwięk i aby go usłyszeć, trzeba mieć serce czyste i jasne. Bzdura! – powiedziała do siebie Bogini. – Serce czyste i jasne nie jest mi do tego potrzebne. Skoro to dźwięk, to nie trudno będzie go rozpoznać. Zamknęła książkę i zadowolona, że uzyskała wskazówkę, udała się na kolejną wędrowkę po świecie. Tym razem miała znaleźć dźwięk, który zaprowadzi ją do eteru. Potem wszystko ułoży się tak, jak planowała.

Ta podróż zajęła Bogini Ognia więcej czasu niż przypuszczała. Szukała dźwięku opisanego w książce przez wiele miesięcy i nic nie wskazywało na to, że zbliżyła się choć trochę do celu. Nigdzie nie słyszała charakterystycznego dźwięku. Wszędzie panowała albo cisza, albo gwar i hałas związany z codziennym życiem na ziemi. Odgłosy przyrody, rozmowy ludzi, krzyki, płacz, śmiech, muzyka i śpiew – wszystko to rozbrzmiewało dookoła, ale żaden dźwięk nie prowadził Azani w kierunku piątego żywiołu. Bogini była coraz bardziej zdenerwowana, czas uciekał, na pewno niedługo zainteresują się jej zniknięciem inne Boginie i wyślą swoich posłańców, aby dowiedzieli się, co planuje Azani. Ciągłe ją kontrolowały! Tym razem też mogą wszystko popsuć swoim wścibstwem. Myślały wyłącznie o zachowaniu równowagi między żywiołami i nic innego się dla nich nie liczyło. Azani była zła. Znikąd nie słyszała dźwięku eteru, nawet najmniejszego szmeru, nic.

W końcu, zrezygnowana, wróciła do swojej jaskini we Wszechgórze. Była zmęczona wielomiesięczną podróżą i poszukiwaniami tak bardzo, że nawet nie chciało się jej zapalić pochodni. Rzuciła się na łóżko i zasnęła na wiele dni. Przez ten czas nic nie jadła ani nie piła, tylko spała. Podczas snu jej ciało i umysł oczyszczały się i regenerowały. Nie wiedziała, że Boginie Ziemi, Powietrza i Wody dowiedziały się o jej powrocie i to one sprawiły, że zapadła w tak głęboki i długi sen. Zrobiły to specjalnie, bo wiedziały, że przyniesie on ukojenie, złagodzi tęsknotę za celem, którego nie udało się Azani osiągnąć i uśmierzy ból, który czuła przy każdym uderzeniu serca. To właśnie ten ból sprawiał, że Bogini Ognia szukała tego, czego znaleźć nie mogła, że wymierzała surowe kary tym, którzy krzywdzili innych i paliła

wszystko, o czym sądziła, że jest złe. Ból w jej sercu trwał od wielu wieków, na tyle długo, aby nauczyła się go nie czuć na co dzień. Azani wyrzuciła z pamięci krzywdę, jaką wyrządzono jej bardzo, bardzo dawno temu. Ziarnko bólu spadło jednak na dno jej serca i uwierało. Sprawiało, że krew w jej żyłach burzyła się i Bogini była w ciągłej gotowości do walki. Chciała przejąć władzę na wszystkim, bo myślała, że wtedy osiągnie spokój. Pozostałe Boginie dobrze o tym wiedziały i obserwowały zachowanie Azani uważnie, dlatego teraz zesłały na nią sen, aby mogła w końcu uwolnić się i oczyścić swoje serce z resztek trudnej przeszłości. Były pewne, że to jej pomoże.

Gdy po trzynastu dniach Bogini Ognia obudziła się, nie wiedziała, gdzie się znajduje. Jej uśpione zmysły z trudem zaczęły rozpoznawać rzeczywistość. Podniosła się i przez dłuższą chwilę siedziała na łóżku, rozglądając się wokół. Ach tak, jestem w domu, w mojej jaskini. Dlaczego tutaj jest tak ciemno? Co się stało? Jak długo spałam? – pytania przelatywały jej przez głowę, ale nie potrafiła odpowiedzieć na żadne z nich. Wstała powoli i zrobiła kilka kroków, łapiąc równowagę. Gdy poczuła się pewnie, wyszła przed jaskinię. Na zewnątrz panowała głęboka noc. Księżyc świecił mocno, a niebo usiane było gwiazdami. Jak pięknie – pomyślała Azani, patrząc w górę. Nabrała w płuca świeże powietrze i zatrzymała je na chwilę, tak aby dotarło do każdej części jej ciała. Po wielu dniach nieprzerwanego snu pragnęła oddychać głęboko i poruszać się. Usłyszała szum morskich fal i zaczęła iść za ich dźwiękiem. Usiadła na wilgotnym piasku na małej plaży i zanurzyła w nim swoje dłonie. Czuła chłód i miękkość. Wystawiła twarz w kierunku morskiej bryzy i czuła jej powiew każdym centymetrem skóry. W końcu położyła się i zamknęła oczy. Do jej uszu dobiegały pojedyncze dźwięki. Postanowiła, że cała zamieni się w słuch. Cisza, którą słyszała, była pozorna. Za nią kryła się cała muzyka świata, złożona z nieprzebranej liczby tonów, półtonów i subtonów. Niektóre z nich nie były słyszalne od razu. Azani wyciągnęła przed siebie ręce i delikatnie poruszała dłońmi i palcami. Nadal miała zamknięte oczy. Słuchała. Po chwili zaczęła też czuć ciepło wokół swoich rąk, które zaczęło wnikać w jej ciało przez czubki palców. Była tak bardzo spokojna, jak nigdy wcześniej. Mgliste wspomnienie podróży i walki przesunęło się przez jej zamkniętymi oczami. Pozwoliła, aby przepłynęło i opuściło ją na zawsze. Nie chciała się stąd ruszać. W końcu usiadła i spojrzała na morze, potem znów na niebo i księżyc, a w końcu na swoje dłonie. Wciąż czuła w nich ciepło, które rozchodziło się wciąż dalej i dalej po jej ciele. To chyba jest to – pomyślała Azani – ten piąty, brakujący element. W tym momencie jej serce zabiło mocniej. Wiedziała, że znalazła to, czego szukała od tak dawna. To przyszło samo, bo było blisko. Wszędzie. A teraz było także w niej. Nie musiała już biec i rozrywać świata na małe kawałki. Mogła zostać tu i zatonać w dźwiękach Wszechświata. Mogła stać się wszystkim i po chwili niczym. Mogła czuć lęk, który zaraz gasiła miłość. Miała w końcu serce, czyste i jasne.